Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 30. Października 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 44.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

ZEFIREK

OBRAZEK Z ŻYCIA KOBIET

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ

(Ciąg dalszy)

— Pamiętaj Róziu, że mamy gościa... — wyrzekła uroczyście i zwróciła się do pani Emmy.

— Niech pani Radczyni daruje... ale my z córką, przywykłyśmy dawne czasy wspominać... ona także jest ofiarą tych wszystkich zmian i obrzydliwości, które się na świecie porobiły. Obywatelską córką będąc, za pierwszego lepszego wyjść nie mogła, a odpowiednia partja nie trafiła się. Nie skarży się ona na to... bo wpoiłam w nią to przekonanie, że lepiej cierpieć i choćby zginąć, aniżeli poniżyć się... Zamiłowała robótki swoje, pielęgnuje matkę i lepiej jej z tem, niż gdyby była rozromansowała się i zrobiła mezaljans jaki... Prawda Róziu?

— Prawda Mamciu, prawda! — szczebiotała Rozalia, rumiany policzek swój tuląc do twardego kolana p. prezydentowej, która, pochylając się ku p. Emmie w sposób taki, w jaki pod dotknięciem jakiemś pochylają się posągi, z tajemniczym wyrazem twarzy i z cicha zapytała:

— A nie mówił tam Staś czego o naszych procentach, he?

P. Emma zmięszała się nieco. Jej samej procenty jeżeli nie leżały na sercu, to przynajmniej, wraz z mnóstwem innych rzeczy, wirowały często po głowie; z drugiej jednak strony, pragnęła bronić Stasia od zarzutów, które przewidywać mogła.

— Tak... wspomniał — wyjąkała — mówił, że wkrótce wypłaci i mnie i pani prezydentowej...

— Wypłaci? wkrótce? to dobrze... to dobrze... to dobrze! żeby tylko prędzej, bo ot już z górą rok żyć bez procentu trudno trochę, trudno... Już i herbatę tańszą zaczęłyśmy kupować... i to za pieniądze Rózi... z robótek!—prawiła stara; — już z górą rok połową tylko procentu i jej robótkami... a choć to dla panny stosowne zajęcie, ale oczy... to... to... to... oczy męczy...

Tu głos jej zadrżał trochę.

— Czy pannę Rozalię oczy bolą? — zapytała p. Emma.

— Ej nie! — odparła szybko - czasem... trochę... ale to nic!

— I może czasem nie rozprzedać robótek...

Tym razem, pilna robotnica aż podskoczyła na swym stołeczku.

— Ja! nie rozprzedam moich robót! — zawołała — zapewne! a gdzież oni znajdą ładniejsze! żebym miała cztery ręce, tobym ich dwa razy tyle rozprzedała, ot i te buciki dawno już zamówione i jeszcze trzy pary takich samych, a teraz mam w głowie projekt i na paciórkowe profitki... prześliczne... nie wiem jeszcze tylko czy z białemi paciorkami czy bez białych...

— Panna Rozalia jest prawdziwie niestrudzoną... — wtrąciła pani Emma.

— Zamiłowała... zamiłowała... to bardzo pięknie dla panny, jeżeli zamiłuje robótki... bardzo stosownie... ot już panna Brygida inne ma gusta... ale ja ich nie pochwalam, nie pochwalam!

Wdowa zarumieniła się gorąco.

— O, i ja także! — zawołała — ale cóż zrobię? Brynia jest uparta i ma taką grubą naturę.

— Grubą, bardzo grubą! — potwierdziła Łopotnicka — któż kiedy widział, aby panna rąbała sama drzewo, nosiła wodę i prała bieliznę... jeżeli już nawet zmuszona jest do tego, powinna ukrywać się, robić to tak, żeby nikt nie widział... ale tak! jak prosta dziewka ubierać się i pracować... nie wypada! to, to, to, to, nie wypada!

— Wieczna to zgryzota moja i wstyd! — szepnęła p. Emma, a na twarz jej wybił się nigdy u niej niewidywany wyraz gniewu.

— Pani radczyni zresztą, tak bardzo tego czuć i do serca brać nie możesz — mówiła dalej staruszka — bo chociaż rodzice i mąż pani byli porządnymi i zamożnymi ludźmi... nie ubliżam, nie ubliżam... bardzo porządnymi i zamożnymi... zawsze jednak w urzędniczym stanie nie może być tego punktu honoru i tej ambicji...

— Matka moja była obywatelską córką — wtrąciła nieśmiało Żyrewiczowa.

— Prawda, prawda, zawsze jednak to... to... to... nie to...

Głęboka pokora odmalowała się na twarzy i w postawie wdowy.

— Pani prezydentowa ma racją — odrzekła z cicha — to też, jedyny żal, jaki mam do rodziców moich, jedyny żal... to, że nie wydali mię za obywatela, bo przecież... starało się ich o mnie kilku!

— Brynia — ozwała się Rozalia — Brynia zawsze mi tyle dobrych rzeczy opowiada o swoim ojcu... mówi ona, że on bardzo kochał panią.

— O tak! — zawołała z wybuchem wdowa — Ignacy ubóstwiał mię... tak! byłam ubóstwianą... ale, nie wiem dla czego, ścigała mię zawsze nieokreślona jakaś tęsknota... czułam zawsze, że mam skrzydła zwichnięte, że mi coś innego, wyższego, promienistszego od świata należy!

— Mało komu się co należy! — sarknęła Łopotnicka i długiem spojrzeniem ogarnęła schyloną znów nad błękitnym trzewiczkiem głowę córki.—Mało co komu

się należy! — powtórzyła trzęsąc głową — już to naprzykład, co najmniej do uszanowania ludzkiego pretendować mogę... bo przecież i wiek mój i stan i to... to... to... A jednakowoż, zdarzają się nieprzyjemności takie... Ot, niech pani radczyni imajnuje sobie, co mię dziś, dziś, w biały dzień, po środku ulicy spotkało! Szłam dziś z wizytą do marszałkowej... Rózia wczoraj odnosiła serwetkę siatkową, którą zamówiła u niej ta tam... jakże się nazywa?...

— Płocińska, doktorowa... — przypomniała Rozalia.

— Aha, ta, doktorowa... i dowiedziała się od niej, że marszałkowa jest w mieście. Bo to ten Płociński, to z gminu podobno, z mieszczan, ale ona Zężanka z domu, z Odropolskimi przez matkę spokrewniona i ztąd z obywatelstwem ma stosunki... Rózi z sobą nie wzięłam, bo toalety wizytowej nie ma, a dla mnie starej, w szalu moim i czepku wszędzie... przystoi... Szłam tedy Sklepową ulicą, po maleńku, bo ten reumatyzm w nogach i trudno już po bruku chodzić... kijem moim podpierałam się... ja, bo bez kija mego ani kroku nie robię... pomiędzy teraźniejszych ludzi, jak pośród rozbójników, bez kija ani stąpić... Porządnego człowieka na ulicy rzadko zobaczysz, a tylko ten szary motłoch w drogę włazi, a jak mi już te różne figury, żydy, mieszczany i licho wie kto, bardzo w drogę wleżą, to takiego moim kijem młynka puszczę, że się na cztery wiatry rozlatują... to... to... to... to... cha... cha... cha!

Śmiała się serdecznie z młynka swego i ustępującego przed nim motłochu.

— Ale cóż to panią prezydentowę dziś spotkało! — zagadnęła Żyrewiczowa.

— Aha... przyszłam nad rynsztok jakiś i kiedy przyszło przestąpić go.. ani weź! Reumatyzm ten... i nogi nie słuchają! Spróbowałam raz, spróbowałam drugi raz i oglądam się, jakby tę przeszkodę ominąć, aż tu słyszę obok siebie: niech pani pozwoli, ja pomogę! Fircyk jakiś, pani moja, porwał mię za ramię i tak zgrabnie jakoś podparł i pociągnął, żem się na drugiej stronie rynsztoka znalazła, podeszwy u trzewika nie zamoczywszy. Rozgniewałam się okropnie: »Kto panu pozwolił? pytam się; jak pan śmiałeś? Czy pan wiesz, kto ja jestem?« »Chciałem dopomódz...« — odpowiada. — Pasja mię już ostateczna porwała. »Mój panie — mówię — jeżeli nie wiesz o tem, to ja stara nauczyć cię muszę, że do osoby z przyzwoitej kompanji, nie wypada ani przemawiać, ani zbliżać się, nie będąc jej zaprezentowanym.« Co pani radczyni powiesz na to? Urwis ten parsknął mnie w oczy i pobiegł śmiejąc się jak szalony. A z ubrania i figury, wyglądał nawet na coś porządnego, ale teraz wszyscy wykrojeni na jeden model: i pan i szewc, ani poznasz z kim masz do czynienia...

— Ten pan... tak sobie... z dobrego serca pewnie... spróbowała ująć się Emma.

— Co to dobre serce! — ofuknęła stara — kpię ja z dobrego serca tych wszystkich gburów i dorobkiewiczów, którzy teraz świat zaludnili... To był gbur jakiś, człowiek bez wychowania, bez obejścia się i to.. to... to... koniec.

— Ależ naturalnie! jakże! nie będąc przedstawionym zbliżać się do kogoś... pośpieszyła z potwierdzeniem Żyrewiczowa.

— Ten pan nie wiedział kim mama jest i myślał może, że to Bóg wie kto — zauważyła Rozalia i dodała: Staś pewnie nicby podobnego nie zrobił...

— Staś pochodzi z dobrej familii — uroczyście wyrzekła Łopotnicka.

— I takie ma miłe obejście się, taką delikatność uczuć, — dodała z pośpiechem Żyrewiczowa. — Cieszę się doprawdy, że przynajmniej będzie on miał dziś miłą chwilę i zabawi się trochę...

— Gdzież to dziś Staś bawić się będzie? — zapytały jednogłośnie matka i córka.

— U Rolickich wieczór tańcujący...

— Dziś?

— Dziś.

Rzecz dziwna, że wiadomość ta większe wrażenie wywarła na pani prezydentowej, niż na jej córce. Rozalia zachichotała tylko, mówiąc: To dobrze! zdaleka posłucham muzyki! — Stara zaś szeroko usta otworzyła i oczy jej błysnęły.

— U nich tam piękne towarzystwo bywa — mówiła: — pewnie i marszałkowa z córkami będzie. Rolicki, choć adwokat, jest obywatelskim synem... z Pokutnickiej się rodzi... Matka jego miała majątek, Pokutowo, tuż przy drodze pocztowej, niedaleko Ongrodu... pewnie zbierze się u nich kompania piękna... oprócz marszałkowej, dużo dawnych znajomych, których jeszcze dziećmi znałam... och, och, och!

Żyrewiczowej błyszczały oczy i rumieniły się policzki.

— Pani prezydentowo, — zaczęła nieśmiałym głosem, — a żebyśmy, tak jak przeszłej wiosny poszły i przez okno popatrzały, jak oni tam będą poubierani i jak będą tańczyć... Staś ślicznie tańczy... brał lekcje u.... tego sławnego metra.

— A dobrze, dobrze, — po krótkim namyśle odpowiedziała Łopotnicka; — czemuż nie! rozerwę się trochę... i jeszcze raz przed śmiercią... *ich* zobaczę!... och, och, och!...

— Niech pani radczyni przyjdzie tylko po mnie, jak zaczną tam grać i tańczyć...

Pani radczyni wstała i zaczęła się żegnać. Teraz, z ruchów przynajmniej i ożywionego wyrazu twarzy, wyglądała na lat dwadzieścia.

Rozalia za to spochmurniała trochę.

— Mama jeszcze zaziębi się na dziedzińcu, wieczorem stojąc... i przytem... czyż to wypada?

— No, no! — gniewnie ofuknęła matka; — niechaj jaja kur rozumu nie uczą! Już ja wiem co robię. Po ciemku wszystkie koty szare... Kto mię tam pozna!

Po wyjściu wdowy, Łopotnicka więcej do siebie, jak do córki mówiąc, zaczęła:

— Tej kobiecinie zdaje się, że i ona coś znaczy na świecie, dla tego, że mąż jej był z obywatelskiej rodziny i że jeden jego krewny, do tego czasu ją odwiedza... Pnie się to do wyższych... pnie się... co moment zagląda do nas, a ogląda się, czy ludzie widzą, że u nas bywa... Całe życie pięła się... obiadki i wieczorki wydawała... a córkę to wyhodowała na prostą dziewkę.

— Ja Brynię bardzo lubię, — ozwała się z nad roboty swej Rozalia.

— A cóż robić? kiedy już los przybliżył nas tak do tych ludzi, to... to... to... znosić ich musimy... Ale co tam lubić? po co lubić? za co lubić! grubianka! śmie z tobą kłótnie rozpoczynać...

— I mnie kłótnie te dokuczyły bardzo... ale ona taka biedna!

— Co to biedna! dla czego biedna!...

— Tak; — wahającym się głosem odparła Rozalia; — marnuje się...

— Dla czego... — zaczęła stara, ale urwała nagle i ostry, wyniosły wzrok siwych swych oczu, przenikliwie w córkę wlepiła. — Marnuje się! marnuje się!... zamruczała po kilka razy, a patrzała wciąż tak jak gdyby zbadać i odgadnąć chciała: dla czego córka jej wspomniała o marnowaniu się swej sąsiadki i co pod wyrazem tym rozumiała i czy wypadkiem, sama o sobie w podobnyż nie myślała sposób. — Marnuje się! — szepnęła raz jeszcze, — wielka rzecz! nie ona jedna... nie jej nosem panny...

Nie dokończyła znowu. Wysokie, żółte czoło jej, otoczone pasmami siwych jak srebro włosów, okryło się ciężką chmurą zgryzoty pomięszanej z gniewem.

Szarzało już, gdy ozwała się do córki:

— Ciemno już, nie psuj oczu; idź do sionek i samowar nastaw.

— Wody nie ma; Marcinowa dziś nie przyszła... chora czy co? z trudnością odrywając się od zajęcia swego, — odpowiedziała Rozalia.

— No, to weź dzbanuszek i przynieś ze studni... bo potrzebuję bardzo ciepłej herbaty wypić... Ciemno teraz... dzbaneczek dobrze schowaj pod chustkę... nikt nie zobaczy.

Żyrewiczowa wracając do mieszkania swego, znalazła Brygidę, siedzącą na wschodzie rozdzielającym próg z ziemią i trzymającą na kolanach swych wielką, kudłatą głowę podwórzowego psa. Pies tulił do kolan jej grzbiet swój, żółtą sierścią okryty, a ona obie ręce na głowie jego trzymając, schylona, mówiła doń półgłosem:

— Dobry Wilczek! poczciwy Wilczek! mój... mój... mój... Wilczek!

Piękne, surowe zwykle usta jej, rozwierały się czułym prawie uśmiechem.

Spostrzegłszy matkę, podniosła głowę i w zwykły sobie szorstki sposób, rzekła:

— Herbatę i rosół dla mamy przygotowałam... lampy tylko nie zapaliłam, żeby darmo nie paliła się...

Na stoliku przed kanapką, zasłanym czystą serwetką, obok talerza z odegrzanym rosołem i innych skromnych bardzo przyborów, stała szklanka z nalaną herbatą. Znajdowała się też tam lampka, do zapalenia przygotowana i wiązka zapałek. Ale p. Emma nie zapaliła lampki i nie tknęła przygotowanej wieczerzy. U wejścia do mieszkania spotkały ją dwa wrażenia:

szarej godziny i świeżej tu bytności młodego krewnego jej męża. Westchnęła, stanęła u okna i chwil kilka dumała. Usta jej poruszyły się z wolna i wyszeptały: »Tyle szczęścia co się prześni, tyle życia ile w pieśni.« Powolnym krokiem zbliżyła się do fortepianu, usiadła na stołku i przebiegła klawjaturę passażem, w paru momentach fałszywym, ale szybkim i tak delikatnym, jak przeciągłe, przyciszone westchnienie. Potem, uderzyła kilka akordów, aż na koniec, z cicha i trwożnie, jakby lękała się płoszyć zgromadzone do koła niej duchy tęsknot i marzeń, głosem słabym lecz młodym jeszcze, czystym i dźwięcznym, przy delikatnym wtórze fortepianu, śpiewała.

— O, powiedz mu, że niepojęta siła
Do jego życia, wiąże moje dni!
O, powiedz mu...

Była właśnie w połowie drugiej strofy pięknej tej pieśni, gdy Brygida ze stukiem weszła do pokoju, zapaliła lampę i głośno rzekła:

— Niech Mama je kolację, bo zupełnie już ostygnie...

Przebudzona z zadumy zapalonem światłem i głosem córki, straciła wątek pieśni, od fortepianu wstała i usiadłszy na kanapce z apetytem wielkim zjadła odgrzewany rosół, znajdujący się w nim kawałek mięsa i wypiła dwie szklanki herbaty z razowym chlebem. Pijąc herbatę, spoglądała wciąż przez okno, oczekując zapalenia się świateł w oknach bogatego adwokata.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LORD BYRON

jego charakter i umysł

napisał

FELIKS LEWICKI.

(Ciąg dalszy.)

Często mówił o swojej żonie i gdy bywał zapytywany dlaczego się z nią rozłączył, mawiał że sam dobrze nie znał przyczyny. Dodawał nawet z goryczą, że wszystko uczynił co mógł, aby z żoną pogodzić się koniecznie.

— Przyjdzie chwila, w której będę pomszczony — rzekł — czuję, że żyć długo już nie będę, a gdy kamień grób mój zamknie, co wtedy nastąpi? Ktokolwiek jest przyjacielem lady Byron, powinien życzyć jej, aby męża nie przeżyła. Grób zmywa bowiem wszystkie błędy i rzuca na osobę współwinną z nieboszczykiem, tak ciemne barwy, że zarzuca jej kajdany wyrzutu na całe życie.

Mówił także:

— Moja żona nie posiada regularnych rysów, nie jest pięknością żadną, ale bardzo lubię jej spojrzenie. Posiada przytem wiele cnót domowych...

Opowiadał, jak z nią był szczęśliw, jakie było ich domowe pożycie. Czasami gniewnie unosił się nad zimnem postępowaniem żony, która nietylko nie odpisywała na jego listy, ale nawet przyjmować ich nie chciała.

Byron rozłączył się z żoną z błahych bardzo przyczyn i to zaledwo po roku z nią pożycia, wtedy jeszcze, gdy żona obdarzyła go dzieckiem. Czyż nie była to najpiękniejsza podstawa do ścieśnienia raczej małżeńskich węzłów?

Szczególniej bywał niedyskretnym; nie przez złośliwość, ale po prostu dla tego, że nie umiał żadnej tajemnicy dochować. Nietylko swoje, ale i cudze błędy głosił i rozmazywał przed światem, anatomizując je bez skrupułu. Moralna ta niedelikatność popchnęła go do wydania „Farevell“, który posłał lady Byron jako ostatnie pożegnanie. Ta publikacja, stawszy się publiczną, znaczenia już nie miała wielkiego dla żony, zraniła jednak do gruntu delikatność kobiety, małżonki i matki.

— Dla czego — spytała się lady Blessington — tak dobrze pan mówisz o żonie, a takie rzeczy przeciwko niej piszesz?

— Ach! — odrzekł z uśmiechem potrząsając głową — pisałem to, aby jej dokuczyć, wtedy gdy moich listów nie przyjmowała. Sarkazm mój był skwaśniałą w sercu miłością. Żałowałem jednak potem, żem tak publicznie, biedne serce moje otworzył. Złość przytłumiona w duszy, silniejszą była od wyrzutu i od najlepszych postanowień, nie dopuszczenia się więcej takiego błędu, jak publikowanie zajść naszych domowych. Gdy jednakże prowokowała mnie ciągle, tą samą odparłem zemstą... nędzną i niegodną zapewne, wyznaję!...

Byron posiadał dziwną mięszaninę dobrego i złego zarazem. Jedno i drugie górę w nim brało, stosownie do usposobienia i humoru. Ten charakter uczynił go niemożebnym w domowem pożyciu, a przez to, nie mógł czule kochającej uszczęśliwić małżonki. Przyczynę jednakże rozłączenia jego z żoną, sam doskonale ocenia jak zobaczymy.

Poznał we Włoszech hrabinę Giuccioli, i pokochał ją gorąco. Posłuchajmy jego samego w tej sprawie.

— Hrabina Giuccioli — mówił — jest osobą do wysokiego stopnia miłą, przyjemną i dystyngowaną. Jest to kobieta szlachetna, wykształcona i bardzo sympatyczna. Bardzo jest do mnie przywiązaną. Namiętnie byłem w hrabinie zakochany, a ona wszelkie możliwe dla mnie czyniła poświęcenie. Jej postępowanie ze mną w każdej mierze, było szlachetne i wyborowe. Całego wpływu swojego użyła, aby nie dozwolić mi dokończenia Don Juana, a przynajmniej aby zmazać to wszystko, co w tem dziele było nieprzyzwoitem. Jestem nieszczęśliwy, jednakże sobie samemu powinienem to przypisać, bo hrabina Giuccioli posiada wszystko, co potrzeba aby rozsądnego człowieka uszczęśliwić.

— Hrabina Giuccioli — rzekła lady Blessington — nie powinna cieszyć się, że spotkała tak dziwnie urodzonego człowieka...

— Pani może ma słuszność — przerwał Byron — chociaż nie powinna wątpić o mojem szczerem do niej przywiązaniu. Nie taję jednak, że charakter mój nie może kobiety uszczęśliwić. Uczucia moje zniszczone są już; choć liczę tylko trzydzieści sześć lat życia, w duszy jednak mam lat siedmdziesiąt. Czuję się niezdolnym do tego delikatnego postępowania, które określić jest trudno, a którego każda wymaga kobieta, szczególniej Włoszka. Lubię samotność, stała się ona dla mnie potrzebą życia. Mam zwyczaj zamykania się na całe godziny. Jestem przytem roztargniony, ponury i nudny dla osoby, którą kocham. Pewny jestem, że człowiek, obdarzony poetycznym temperamentem, posiada to usposobienie ducha, które mu szczęśliwym być nie pozwala i które depcze szczęście osoby z nim połączonej. Niechże pani mnie o próżność nie posądza, bo jestem przekonany, że ta strona charakteru właściwą jest największemu, jako też i najmniejszemu poecie. Tłumaczę to w sposób następujący: Wyobraźnia nasza silniejszą jest od naszego serca i więcej iest zdolną do błądzenia, gdy jest bez przewodnika puszczona. Jak tylko więc przejdzie chwila zaspokojonego uczucia, szukamy dalej i widzimy, że tylko chwilowe kosztowaliśmy szczęście. Wyobraźnia nasza pociąga nas następnie do świata dziwacznych marzeń i gdy w nas tworzą się te utopje, dosyć chłodno przyjmujemy świadectwa przywiązania drogiej nam osoby. Oto całe nasze nieszczęście; czy jednakże w tem nasza jest tylko wina? Jakże srogo jednak za nią pokutujemy. Ta jest przyczyna główna, dla której niezdolni jesteśmy kochać i dla której nie możemy współdźwigać pęt narzuconych tej, która nas kocha i sama wtedy cały ich ponosi ciężar. Musimy potem być świadkami bolu i cierpienia, które sami wywołaliśmy, a niezdatni jesteśmy do ich osłodzenia. Nie jesteśmy znowu zimnymi dla tych, którzy cierpią, to prawda, ale nasza wyobraźnia ciągle i bezustannie panuje nad wszystkiem, przenosi nas do sfer zawsze nowych, jako zdolniejszych do idealizowania, aniżeli do rzeczywistości. Obecność poświęcamy dla przyszłości, pierwsze plany dla dalekich. Wszystkie związki powinne być tem, czem nie są, to jest oparte na równości. Związek dwóch istot należących do sfer przeciwnych, pociąga za sobą nieszczęście. Grób dla poety jest zemstą:

Czemże tysiące miłości ku żyjącym istotom,
W porównaniu z jedną miłością przywiązaną do grobu? *)

Jakżeż to okropnie czułem po śmierci mojego dziecka! Gdy żyło, jej istnienie nie zdawało mi się być koniecznem, ale gdy umarło, sądziłem, że żyć bez niego nie mogę. Jeszcze dzisiaj wspomnienie to gorzkiem mi jest i strasznem.

Często naprowadzał rozmowę o lady Byron, co pokazuje, że bezustannie o niej myślał i że gorąco pojednania z nią pragnął.

— Gdy lady Byron poślubiłem — rzekł — nie poszedłem za głosem interesu i jeżeli nie powodowałem się namiętną miłością, miałem dla żony mojej prawdziwą przyjaźń, któraby do jej szczęścia wystarczyła, gdyby nie mój charakter, co taki zły jest w gruncie. Postawa i twarz lady Byron zachwyciła mnie z początku. Nigdy nie przestała mi się podobać i gdyby nie zły stan moich interesów i nie strata majątku, gdyby nie owe kłopoty, owi wierzyciele, którzy mnie prześladowali codziennie, psując mi krew i zdrowie, kwasząc humor, nigdybym uczuć lady Byron nie zranił. Wiem, że musi mieć bardzo złe o mnie wyobrażenie. Mam charakter nieznośny, nie dziw więc, że pod wpływem napastowania wierzycieli, stałem się ponurym, wymagającym i gwałtownym do nieprzyzwoitości i posunąłem się do braku względów dla żony; nie chcę mówić więcej... Bo też gdyby mnie była prawdziwie kochała, byłaby przyzwyczaiła się do mojej osoby, byłaby zrozumiała moje cierpienia i tym sposobem nauczyłaby się leczyć własne swoje bole.

*) Oh! what are thousand living loves
To those who can not quit the dead?

*

Byron lubiał mówić wiele, gdy znajdował się w towarzystwie tylko drugiej osoby. Stawał się wtedy sentencjonalnym i wyłącznie oddawał się przedmiotowi, który go zajmował. Myślał głośno. Zdania jego były często nienaturalne, ciężkie, sprzeczne ze sobą i jak jego charakter, podlegające ciągłej zmianie. Gdy był we Włoszech, napadła go chęć do pisania prozą; styl jego wtedy był czysto Johnstonowski.

Chciał, aby go słuchano z uwagą gdy mówił i przypatrywał się, jakie słowa jego robią wrażenie na słuchaczach.

W towarzystwie liczniejszem, chciał zawsze uchodzić za człowieka modnego i salonowego Przybierał podówczas wyraz sarkastyczny i żartobliwy zarazem, ale wyraz ten wcale mu nie był do twarzy. Ciągle o sobie mówił; prawił o swoich zajściach, przejściach, domowych kłopotach, osobistych niepowodzeniach i na tem tle, rzucał melancholiczne jeremiady, albo gorzkie, sarkastyczne epigramata, nie bacząc na to, że nudził i nużył obecnych.

Był nadzwyczaj podejrzliwym i ciągle obawiał się być ofiarą oszustwa, albo przedmiotem ostrej krytyki i to było przyczyną, że nieraz tłumił objawy swego charakteru, aby na śmieszność się nie narazić. Udawał przytem wielką obojętność dla opinji publicznej, w rzeczy zaś samej, lękał się jej nadzwyczaj. Podobne usposobienie czyniło go zależnym od najmniej uzdolnionego pisarza, któryby przeciw niemu chciał wystąpić. Posiadał więcej odwagi i siły w samotności, aniżeli w towarzystwie. W chwilach natchnienia, gotów był rzucić rękawicę całej opinji publicznej i prowokować krytykę całego świata literackiego. Zawsze szedł za popędem pierwszego wrażenia, nie wierząc następstwom, chyba że czuł się zgniecionym przez oszczerstwo i gorzką krytykę. Wtedy spokojnie i ze strachem przysłuchiwał się burzliwym grzmotom, jakie wywołał.

Był, jako poeta, bardzo uczuciowym, a jednakże smutno było słyszeć, jak skalpelem, umaczanym w goryczy, żółci, spleenie i sarkazmie, pociągał po tem wszystkiem, co człowiek najświętszego ma w duszy.

Szydził z uczuciowości, gotów nazajutrz podnosić to, co dzień przedtem pod nogami zdeptał.

Pewnej nocy przecudnej, takiej, jakie się tylko we Włoszech napotykają, znajdując się w licznem towarzystwie, zawołał nagle wśród ogólnego milczenia:

— Cóż to za wieczór! cóż to za widok!... Gdybyśmy tak, jak jesteśmy tu wszyscy, powrócili do Londynu, pod tę ściśnioną i ciemną atmosferę, czybyśmy nie zapomnieli tej cudownej nocy, która oddziaływa na nas tak czarownie? Niestety, nie widzielibyśmy i nie czulibyśmy jak teraz. Pogrążeni w apatję serca i duszy, która dobrze charakteryzuje drogich naszych współziomków, wpadlibyśmy znowu w sztywną powagę dobrego tonu.

Do wysokiego stopnia posiadał dar poznawania ludzi i chełpił się z tego dosyć często; zdawało mu się nadto, że znał siebie doskonale, w tem jednak błądził.

Przyznawał sobie wiele stron małych ujemnych, dodatnim zaś nie dowierzał. Pierwsze jego wrażenie było zawsze dobre, a żywy jego temperament, nie pozwalał mu postępować za głosem zimnego rozsądku i to była dodatnia jego strona, bo szlachetne popędy mogłyby być przytłumione z powodu ciągłej goryczy jego usposobienia. Mówił ludziom z właściwą sobie ironją o brudnych stronach swojej duszy, a mówił tak z wyrachowania, jedynie, aby nie mówiono o nim gorzej. Powtarzam jeszcze, że trudno pojąć tę okropną mięszaninę dobrego i złego, szlachetnych popędów i zimnego zastanowienia. Inaczej pojąć tego stanu nie można, jak przyznaniem, że natura jego dobra, skrzywioną została u kolebki życia.

— Często mi na myśl przychodzi — mawiał — że po matce mojej odziedziczyłem gwałtowność i szorstkość charakteru. Ojciec mój nie był zresztą lepszym, jeżeli wierzyć mam wszystkiemu, co o nim słyszałem. Nie dziwię się więc, że taki jestem trudny w pożyciu. Byłem zawsze gwałtownemu gniewowi podległy i to z przyczyn błahych, tak dalece, że gdy zimnym rozumem zastanawiałem się nad tem, bardzo się samemu sobie dziwiłem, ale to mnie nie poprawiło jednakże. Nie mogę zimno patrzeć na to, co mnie boli, a gdy szatan gniewu owładnie mną, już panem siebie nie jestem.

Przyczynę tego charakteru, określa sam Byron następującemi, istotnie pięknemi słowami:

— Biedna moja matka. Rzadko, aby przez dzień cały nie gniewała się, i tej złości swojej we mnie nie przelewała. Złość ta do szaleństwa dochodziła, zwłaszcza gdy mi wymawiała moją ułomność. Wtedy uciekałem od niej i ukrywałem się w kąt opuszczony, gdzie w samotności puszczałem wodze gniewowi, przeklinając fizyczną moją ułomność, którą brałem jako niezaprzeczoną Bożą niesprawiedliwość!... Ach, jakże gorzkie były chwile mego dzieciństwa! Pozostało po nich wrażenie bardzo głębokie, które zepsuło właśnie moje serce, w którem natura zasiała ziarna dobroci, miłości i prawości. Wiek mój dziecinny natchnął mnie myślą napisania „The Deformed Transformed“. Moja matka a potem koledzy szkolni szyderstwami swemi przyzwyczaili mnie do tego, że ułomność moją uważałem jako największe nieszczęście, jakie spaść może na człowieka. To uczucie, zachowałem na zawsze.

Często tę ranę odnawiał, z czego wnosić należało, że temu to pierwszemu wrażeniu winien był późniejsze ukształtowanie ducha i charakteru.

Był bardzo badawczym. Najmniejszy egoizm lub próżność drugiego nie uchodziła przed jego wzrokiem i gniewała go do wysokiego stopnia. Jeżeli spostrzegł w kimkolwiek błąd podobnego rodzaju, a błąd to niestety powszechny, opanowywała go wtedy taka niechęć, że nie zwracał uwagi na zacność, szlachetność i zasługi. „Wolał — jak się wyrażał — przebaczyć zbrodni, bo ona jest córą namiętności, aniżeli błędom, powstałym ze zbytniej miłości własnej.“

— Nie wierzę zresztą — pisze hr. Blessington — aby w gruncie natury Byrona leżało tyle pogardy dla rodu ludzkiego. Była to jedna z tych tysięcy gier sztucznych, których używał, aby omylić słuchaczy.

Gdyby Byron był miał zdrowe pojęcie o postępowaniu swojem, spostrzegłby był śmieszną komedję mizantropa, jaką odegrywał i byłby się wyższym okazał.

Był bardzo miłosiernym, jałmużnę dawał ubogiemu z nadzwyczajną delikatnością, bywał nawet uprzejmym, gdy żebrak był fizycznie ułomnym.

Wysoką miał pretensję błyszczenia w salonie, jak już przytoczyłem, ale roli wielkiej nigdyby nie mógł tam odegrać, bo nie rzucał zdawkową monetą w towarzystwie, która jedynie kursuje w bazarze światowego społeczeństwa; cały kapitał jego był w bryle szczerego złota, nie mającego wartości w salonach.

Lubił wiele mówić, utrzymywał, że wielcy ludzie byli wielomownymi, przytaczał na poparcie tego twierdzenia: Voltaire'a, Horacego, Walpola, Johnson'a Napoleona i innych.

Miał także pretensję do dobrego jeżdżenia konno; bardzo źle jednak na koniu wyglądał. Jego rumak ubrany zawsze był w różne błyszczące i dziwne świecidełka. Używał huzarskiego siodła, czyli kulbaki, w której olstrach były dwa pistolety. Ubranie jego podobnież było śmieszne: Nosił bowiem kurtkę starego kroju i spodnie nankinowe skurczone skutkiem prania; kamasze miał z takiegoż materjału, dalej kołnierz u kurtki czarny, czapkę aksamitną ciemno-niebieską ze złotemi wyszywaniami; niebieskie na nosie okulary, strój ten dziwaczny i bez smaku dopełniały.

Ile razy koń jego potknął się, co się często zdarzało, twarz Byrona przybierała różne naprzemian barwy. Ściągał silnie uzdę rumaka i okazywał więcej wrażliwości, aniżeli nerwowa jaka kobieta.

Zdrowie jego podówczas było bardzo wątłe, skutkiem może zbytniej wstrzemięźliwości jakiej poddawał się dobrowolnie. Mięsa nie jadał, karmił się tylko jarzynami, a gdy mu wszyscy radzili, aby przyjmował pożywniejsze pokarmy, odpowiadał:

— Gdybym zmienił tryb życia, nabrałbym większej tuszy i stałbym się niedołężnym. Wolność umysłu, potęga mózgu leży w tym sposobie życia.

Nie pragnął nigdy długich lat; powtarzał często maksymę Williama Templa: „Życie jest tak jak wino; jeśli chcesz je pić czyste, nie wychylaj kielicha do dna!“

O śmierci wyrażał się bez bojaźni.

— Pewność śmierci — mawiał — ma wpływ na nas więcej pocieszający i silniejszy, aniżeli wszystkie nauki i aksiomata scholastycznej filozofji. Cierpienia życia stałyby się dla nas prędko nieznośnemi, gdybyśmy nie byli pewni, że się niezadługo skończą. Cowley wyraził prześliczną i głęboką myśl w tym wielkim obrazie:

»Życie! cieśnino wązka i słaba wznosisz się dumnie,
«Pomiędzy dwiema wiecznościami!... *)

Obdarzony bujną wyobraźnią, Byron nasiąkł przesądami i gniewał się na tych, którzy jego opinji w tym względzie nie podzielali. Wierzył na prawdę i stanowczo w nadnaturalne widzenia, a gdy o tem mówił, fizjonomja jego przybierała wyraz poważny i mistyczny. Ponieważ taka niewytłumaczona wiara, staje się poprostu anachronizmem, przeto osoby, które go pierwszy raz słyszały rozstrząsającego ten temat, sądziły po prostu że z nich szydził.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

*) «Oh life thou weak-buit isthmus doth proudly rise,»
«Up betwixt two eternities !.....»

Z DZIEJÓW PRZYSZŁOŚCI.

Wyrzucony będzie kąkol
Co pszenicę zanieczyszcza,
I ustąpią ze serc ludzkich
Urojone snów bożyszcza.

Jak mydlana bańka pryśnie
Ich potęga i ich władza,
Los już zwolna na tem niebie
Czarne chmury nagromadza.

Płyńcie! płyńcie wy zwiastuny
Burz — przewrotów nowej ery,
Niech potężny grom was strzaska
Przepróchniałe świata stery!

Niech rozwieje tę drzemiącą,
W tchnieniu czasów, senną ciszę;
I potężnem uderzeniem
Huragany rozkołysze.

Jak hakszyszem upojony,
Dotąd świat bezwładnie leży,
Lecz i we śnie tym już żąda,
Świeżych podniet, karmy świeżej.

On chce wyjść z poziomych szranków.
I rzuciwszy precz przyłbicę,
Zmierzyć się z zagadką losów,
Jak przystało: lice w lice.

Pójdzie, pójdzie, bo mu jeszcze
Nie brak mocy i odwagi,
By odsłonić skryty w duszy,
Dumny posąg prawdy nagiej.

Pod symbolów zasłonami
Śpi królewna ta zaklęta,
Tęskna, wyczekując chwili,
Kiedy prysną złudy pęta.

To nie senna marzeń gwiazda,
Szybująca w snów krainie;
Jasny blask rzeczywistości,
Z jej cudnego, oka płynie.

Skalną drogą, nad przepaścią,
Jak niebiosów toń — głęboką,
Świat podąży do niej kiedyś,
Śmiało w górę wznosząc oko.

Skalną drogą nad przepaścią,
Nie zachwiany i bez trwogi,
Pójdzie postać jej odsłonić,
Z symbolicznych fałdów togi.

Lecz dziś sen go mroczy jeszcze,
Więc na oślep bieży do niej,
Jak lunatyk, co bezwiednie
Za księżyca blaskiem goni...

St. Rossowski.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Sejm się skończył, puściwszy w ostatniej chwili wiele spraw, jak to mówią, na rzadki pytel — aby dobić końca. — No, i dobił, niewiadomo tylko, czy na pożytek, czy szkodę Galicji. Przy rozprawach nad projektem reformy administracyjnej przez Rząd przedłożonej, porozbijały się nasze kluby i stronnictwa tak, że dziś chcąc je poskładać jako tako, jużby i zwykła miotła do zgromadzenia porozpraszanych części nie wystarczyła. Stronnictwo krakowskie najwięcej pono straciło, bo około 14-tu członków, którzy nie chcieli się przyznać do zapatrywań na tę sprawę posła Zatorskiego. — Nie słyszeliśmy w izbie przemówienia tego pana, lecz wyczytawszy całą jego mowę wydrukowaną w „Czasie“, nie możemy jej odmówić pewnego mistrzowstwa pod względem formy i konsekwencji retorycznej... Rzeczywiście, trzeba oddać uznanie talentowi pana profesora, jako mówcy; jest treściwy, jasny i otwarcie rzecz stawia we właściwem oświetleniu. Inna kwestja, czy wypowiedziana przez niego opinja i postawione żądania są dla nas odpowiednie i na czasie, jednak i pod tym względem argumentacja jego nie byłaby tak nieprzychylnie ocenioną, gdyby stronnictwo, którego był rzecznikiem, posiadało więcej zaufania kraju i nie byłoby podejrzywane o wsteczne wielko-pańskie intencje. Z powodu swej zanadto kastowej stronniczości i lekceważącego traktowania wszystkiego i wszystkich, którzy do nich nie należą, partja krakowska wobec mas inteligencji tutejszej, gwałtem chce odegrać rolę znanego margrabiego, który, jak powiadają jego biografowie chciał zbawić Polskę mimo jej woli i chęci. Obawiamy się zatem, że obok ich zręczności i wytrwałego taktu politycznego, mogą, podobnie jak margrabia, skończyć z jednej strony niełaską, a z drugiej antypatją. Gdyby więc, powtarzamy, nie ta podejrzliwość i pewna arogancja samych koryfeuszów stronnictwa, wywody i dezyderata p. Zatorskiego nie byłyby znów takie potworne, za jakie je większa część publiczności naszej uważa, bo jużciż bądź co bądź lepszy jest jeden rząd byle swój, niż dwa, z których jeden panujący, a drugi na łasce pierwszego... Ale do takiego jednolitego rządu, jak powiedzieliśmy, dziś jeszcze, w obec niejasnej pozycji ministerstwa w Wiedniu, jeszcze jest zawcześnie i lepszy podobno wróbel w garści, niż gołąb na dachu...

Przy uchwalaniu subwencji dla ruskiego internatu we Lwowie, ksiądz Kaczała postawił kwestję na ostrzu miecza. Albo zgoda, albo internat. Okoliczność ta pod względem nietaktu, przypomina bardzo często ultimatum stawiane gospodarzowi domu, przez bliską jaką krewnę, która poróżniwszy się z kucharką, powiada mu: albo ona, albo ja muszę ztąd ustąpić... Internat księdza Kalinki jeszcze nie jest tak groźnym, aby miał wynarodowić na razie parę milionów Rusinów i spolaczyć ich na szkodę słowiańszczyzny, ma się rozumieć wschodniej, do której ksiądz Kaczała wciąż ma oczy zwrócone, choćby dla tego, że synów swoich wysłał tam za chlebem. — Więc nie było znowu takiego strachu z Rusinami, żeby aż stawiać casus belli narodowości polskiej. Przypuszczamy, że szanowny poseł, dawniej tak przyjazny Polakom, chciał zamanifestować w ten sposób swój powrót na łono nacionałytetu, ale i to było zbytecznem, bo przecież utrata dwuznacznej przyjaźni jego dawniejszej, tak bardzo nas nie smuci. I owszem, życzymy partji święto-jurskiej tego powrotu marnotrawnego syna, dla którego aż dwa podobno wydano bankiety...

W imieniu posłów, w zastępstwie chorego i najstarszego wiekiem dr. Majera, prezesa akademii umiejętności, przemówił do marszałka ksiądz biskup Dunajewski, przemówił od serca, jako dawny przyjaciel i świadek energicznej pracy byłego prezydenta miasta Krakowa. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie pewne wyrażenie się czcigodnego biskupa krakowskiego, o tych przodkach marszałka krajowego. Czy w samej mowie było to nie tak, czy też zaszła pomyłka w wydrukowaniu, jednak wyrażenie: „że chociaż bez przodków, a nam przodujesz“, zamiast komplimentu, na który zdaje się, że było obliczone, wywołało pewien niesmak. Jesteśmy przekonani, że frazes ten jeżeli wyszedł z ust czcigodnego mówcy, to w innem znaczeniu, niż go sobie publiczność tłumaczy, nie przypuszczamy bowiem, żeby ksiądz biskup odmawiał przodków tym wszystkim, którzy nie pochodzą od ludzi noszących tytuły książęce, czy hrabiowskie lub głośne kiedyś imiona historyczne.

Z obowiązku kronikarskiego, notujemy tę okoliczność, jak o niej mówią po mieście i z góry przepraszamy najczcigodniejszego mówcę, że poważamy się odjąć jej literalne znaczenie takie, jakie jej powszechnie przypisują, sądzimy bowiem, że w tym względzie uzyskamy jego łaskawą aprobatę.

* * *

(H. J.) Któż zaprzeczy, że w czasach dzisiejszych, gdy komedja, farsa i operetka zupełnie owładnęły wszystkie sceny świata, gdy poważny dramat i genjalne tragedje, zaledwie są cierpiane w wielkich teatrach stołecznych — że pisać w takich czasach tragedje, jestto najniewdzięczniejsza praca pod każdym względem. Autor nie może mieć nawet nadziei zadowolnienia moralnego, mało bowiem kto spieszy podziwiać piękne utwory muzy dramatycznej, a już bynajmniej nie może myśleć o powodzeniu materjalnem. Jestto rzucanie najzdrowszego ziarna w ziemię skostniałą od ścinającego ją mrozu! Nie dziw więc, że i nasza muza poważnej poezji dramatycznej wśród takich stosunków nie może się rozwijać — i jedynie pierwszorzędne nasze talenta, nie zważając na prądy czasu i nie goniąc za praktycznym kierunkiem, przejęci świętym zapałem dla prawdziwej sztuki, ratują ją od zupełnej zagłady! Człowiek szanujący siebie, nie stanie się klownem cyrkowym, choćby dla ratowania się od głodowej śmierci! — To też z prawdziwą przyjemnością pospieszamy podzielić się z naszymi czytelnikami wiadomością, że utalentowany nasz poeta, p. *Bolesław Czerwieński,* napisał oryginalną tragedję p. t. „Niewolnik“, a którą w tych dniach odczytał wśród grona literatów i artystów. — Jestto utwór poetyczny niezwykłej piękności, tak pod względem formy, jak treści; literatura więc nasza dramatyczna wzbogaconą została w klejnot prawdziwy; a nie jest to nasze zdanie subjektywne, ale ogólna opinja, jaką wszyscy po przeczytaniu objawili. Dzięki dyrektorowi p. Miłaszewskiemu, który niezrażony niepowodzeniami tragedyj Słowackiego i Asnyka, przedstawi na naszej scenie

„Niewolnika", będziemy mieli sposobność przypatrzyć się temu utworowi w perspektywie scenicznej — i wówczas pomówimy o tej tragedji obszerniej — obecnie możemy jedynie zapewnić, że jest nadzwyczaj zajmującą i obfituje scen prawdziwie mistrzowskie, kreślone z nadzwyczajną siłą i wielkim talentem.

PAN MINISTER

przez

JULIUSZA CLARETIE.

CZĘŚĆ PIERWSZA

(Ciąg dalszy.)

Otóż, pani Marsy zniechęcona, znudzona, słuchała z roztargnieniem pierwszych aktów „Afrykanki", obok pani Gerson, której ciemne włosy ślicznie odbijały przy jasnych blond puklach Sabiny. Po za niemi pan Gerson, po cichutku, jakby bojaźliwie, rozmawiał z panem Guy de Lissac, gdy pod koniec drugiego aktu, w dyrektorskiej loży na przedsceniu, zjawiła się nagle rozjaśniona twarz Sulpicjusza Vaudrey, obok wywoskowanych wąsików Graneta.

— Patrzcie, Vaudrey, — przemówił Lissac.

Pani Marsy przedtem go już spostrzegła. Właśnie lornetowała nowego ministra, którego jasna broda starannie uczesana i rozdzielona na dwoje, spadała na biały krawat, eleganckie wąsy z pewnem tryumfem rozpościerały się na dość pełnej twarzy, a wcale kształtna głowa, to niknąca w pół cieniu loży, to wychylająca się na zewnątrz, zdradzała niechcący, że czterdziestoletni ten mężczyzna, zaczyna łysieć, pomimo młodej jeszcze powierzchowności i gęstych puklów włosów po bokach.

— Wyobrażałam go sobie brunetem! — zawołała Sabina.

— O nie! był on zawsze nawet bardzo jasnym blondynem, o ile go sobie przypominam z czasów szkolnych, — odparł Lissac.

Pani Marsy poruszyła się nagle na krześle, jakby dotknięta iskrą elektryczną i zwróciła do pana Guy cudownie uśmiechniętą twarzyczkę, na najpiękniejszych w świecie umieszczoną ramionach.

— Jakto, pan zostajesz z ministrem w tak poufałym stosunku?

— W najpoufalszym, ile to jest tylko możliwem!

— W takim razie, — zawołała Sabina — mam prośbę do pana, kochany panie Lissac. Nie, nie prośbę, — poprawiła się — ale żądanie.

Śliczną, andaluzyjską główkę pani Gerson, okrasił lekki sarkastyczny uśmiech.

— Już wiem o co idzie! — rzekła.

— I ja wiem także, — dodał Lissac. — Pragniesz pani, abym zaprezentował ci nowego ministra spraw wewnętrznych. Zapewne idzie tu o zamianowanie kogoś prefektem.

— Bynajmniej! Po prostu, potrzeba mi go na miejsce Pichereau. Ach! panie Lissac, kochany mój panie, — błagała cudownie łagodnym swym głosikiem, składając przytem rączki, jak dziecię proszące o nową zabawkę, — skłoń pana Vaudrey, aby przyjął zaproszenie, jakie uczynisz w mojem imieniu, a będziesz kochaniem mojem, słyszysz Lissac, będziesz kochaniem!

Guy powstał już, jednem dotknięciem palca wyprostował swój szapoklak i otwierając drzwi loży, rzekł:

— Chciej pani zwrócić uwagę, że nie stawiam żadnych warunków, spełniając życzenie pani!

Młoda kobieta serdecznie się zaśmiała:

— Delikatność godna uznania, na serjo! W tej chwili gotowa bym przystać na wszelkie warunki!

— Selika jest lodem w porównaniu z panią! — odpowiedział Lissac znikając we drzwiach. — Za dziesięć minut sprowadzę pani upragnionego ministra.

Sabina oczekiwała z gorączkową niecierpliwością. Akt trzeci już się skończył, dyrektorska loża była próżną. Guy musiał już bezwątpienia spotkać się z Vaudreyem, a tu ani ministra, ani jego przyjaciela nie widać. Wśród tych dręczących rozmyślań, zapukano do loży.

Pan Gerson na wpół zasypiający w swoim kąciku, jak człowiek nie mający chwili swobodnej w nawale wieczorów i balów, — zerwał się na rozkaz żony i pospieszył ku drzwiom, aby je otworzyć. Odwiedzającym był pewien malarz, niegdyś przyjaciel Filipa Marsy, przybył zaś z prośbą, aby Sabina raczyła odwiedzić jego pracownię i „podziwiać" obraz, jaki przygotował do tegorocznego salonu! Pani Marsy przyjęła gościa jak mogła najlepiej, i udzieliła mu żądane przyrzeczenie. Niecierpliwość jej wzrastała z każdą chwilą, a nerwowemi uderzeniami wachlarzem o palce lewej ręki, powitała przegrywkę orkiestry przed rozpoczęciem czwartego aktu. Widoczna rzecz! panu Lissac nie powiodła się misja!

Nagle, w jasnem oświetleniu uchylonych drzwi, ukazała się elegancka sylwetka Guya i usunęła się w tej chwili, aby zostawić wolne przejście mężczyźnie o uprzejmym uśmiechu, któremu przyglądało się wielu idących za nim widzów i który wszedł do loży z ukłonem, podczas gdy Lissac mówił do Sabiny:

— Pozwolisz pani przedstawić sobie pana ministra spraw wewnętrznych!

Rozpromieniona nagle pani Marsy, w grupie czarnych fraków, jednego tylko spostrzegła, tylko Sulpicjusza Vaudrey. Inni dla niej nie istnieli na teraz!

Podniosła się, odtrącając mimowolnym ruchem krzesło, a gdy minister wszedł do loży, ona z jednej, państwo Gerson z drugiej strony, skłonili mu się stojący. Sabina tryumfująca, pani Gerson rozciekawiona, a mąż jej zadowolony, jakkolwiek rozespany.

Vaudrey usiadł przy Sabinie ze swobodą człowieka uradowanego, że może zrobić komuś przyjemność, a wizyta ta, złożona kobiecie znanej i powszechnie uwielbianej, wydała mu się naturalnem następstwem dojścia do władzy, do stanowiska, którem od kilku dni się upajał.

Wiedziony naiwnym instynktem, szedł on wszędzie, gdzie go czekała woń kadzideł. Zdawało mu się, że łódź jego unosi się rozkosznie na falach jakiegoś zaczarowanego oceanu. Wszystko go zachwycało. Nie chciałby nikomu czegokolwiek odmówić. Uważał to za rzecz zupełnie słuszną, że kobieta będąca w modzie, jak pani Marsy, chciała mu powinszować, podobnież jak on, nie znając jej, pragnął podziękować jej za życzenia. W takiem usposobieniu, rozumie się, że równocześnie z komplementami, płynęły mu do ust komplementa, jakiemi odpłacał się wzajemnie.

Zresztą czuł się tu w nader sympatycznej atmosferze, pomiędzy dwiema pięknemi kobietami, uśmiechającemi się z pełną wdzięczności uprzejmością, a szczególniej obok zachwycającej Sabiny, mówiącej doń z wytwornym wdziękiem Paryżanki:

— Nie zdołam znaleźć słów na podziękowanie mojemu przyjacielowi, panu de Lissac, że zgodził się skłonić pana do wysłuchania mej prośby...

— Pani miałabyś prośbę? — przerwał jej minister z pospiechem, z góry już zdradzającym przychylną na zapowiedziane żądanie odpowiedź.

— Ach! Boże mój! Idzie tu oto, aby pan minister raczył zaszczycić swoją obecnością zebranie, nieco może światowe, ale jak na ten raz, cokolwiek naukowe...

— Zebranie?... — powtórzył zawsze uśmiechnięty Vaudrey.

— Więc pan de Lissac nie wspominał panu o mojem, zbyt śmiałem może życzeniu?

— Lissac jest zbyt dobrym przyjacielem, aby miał mnie pozbawiać przyjemności usłyszenia bezpośrednio z ust pani, czem mogę mieć szczęście przysłużenia się jej czy też komukolwiek z blizkich pani.

Sabina uśmiechała się, słuchając tego zaokrąglonego frazesu, zręcznie zbudowanego i elegancko wygłoszonego.

Któż to jej kiedyś mówił, że Vaudrey jest parafianinem? Musiał to być jego serdeczny nieprzyjaciel albo przyjaciel poufały. Owszem, pan Vaudrey jest zachwycający!

— Oto, panie ministrze, książe de Rosas jest tak uprzejmy, że przyrzekł mi, iż w nadchodzącą sobotę, opowiadać będzie u mnie, w formie pogawędki, ostatnią swą podróż naokoło ziemi. Jestem przekonaną, że pan de Rosas będzie dumnym, skoro się dowie, że w gronie słuchaczy jego...

Sulpicjusz nie dopuścił pojawienia się świeżego komplementu i z należytą skromnością przerwał mowę pani Marsy.

Pan de Rosas nie był mu obcym. Czytał jego przekłady poetów perskich, odbite w nader szczupłej liczbie egzemplarzy, wyłącznie dla osób najbliższych. Dawniej spotykał się z nim na posiedzeniach towarzystw naukowych. Pan de Rosas to znakomitość, z całą przyjemnością gotów jest odświeżyć znajomość z nim. Jest to bohater romansu, z benedyktyńską erudycją. Człowiek przytem salonowy, pełen dowcipu, coś nakształt Cyda, przemienionego w światowca, po powrocie z Azji środkowej.

Portret ten pana de Rosas bardzo dowcipnie i z życiem był nakreślony, Sabina też każdemu oddzielnemu rysowi potakiwała stwierdzającym ruchem głowy, niby niemym choć wymownym oklaskiem. Vaudrey z przyjemnością mówił i słuchał, z przyjemnością za uśmiechy uśmiechem odpłacał. Poza ramkami tej loży, w której odrysowywały się przy nim dwie wytworne sylwetki, blondynki i brunetki, widział salę olbrzymią, płonącą światłem, złotem i purpurą, ożywioną głów mrowiskiem. I z całego tego tłumu strojnego, z tych lóż, w których nęciły oko wydekoltowane gorsy i również śnieżne ramiona, do połowy przysłonięte rękawiczkami, migotliwe błyski brylantów i świeże kwiaty u włosów — zdawało mu się, że podobnie jak przed chwilą, wzno-

si się silna, odurzająca woń, zbudzona ożywczemi promieniami nowo wschodzącego słońca.

Na scenie, eteryczne spódniczki i trzewiczki różowe, które niedawno z blizka oglądał, trzepotały się w fantastycznym balecie, a cały ten przepych opery, w uroczych blaskach elektrycznego światła, podziwiany z głębi loży, wydawał mu się nieustającą apoteozą jego wywyższenia, uroczystym festynem danym na cześć jego, w chwili gdy ujmował w swe ręce ster państwa.

Pod takiem wrażeniem, rozmarzony i upojony uczuciem radości, wynurzał się szczerze w obec pani Marsy i jej przyjaciół, wypowiadał im otwarcie swoje myśli, projekta i marzenia. Na życzenia złożone mu przez Sabinę, odpowiedział pyszną tyradą o obowiązkach władzy.

— Zamierzasz pan więc, panie ministrze — pytała — wielkich dokonać rzeczy?

Na co on, wpatrzony w czarodziejską otaczającą ich dekorację, odpowiedział przy akompaniamencie dziwacznej muzyki indyjskiej:

— W istocie, pani, teka ministerjalna jest w moich oczach jedynie obowiązkiem, a nadto środkiem do czynienia dobrze. Pragnę być sprawiedliwym, pragnę być dobrym. Radbym wynaleźć w głębiach ciemności prawdziwą zasługę i wysunąć ją na pierwszy plan, aby wynagradzać w ten sposób niesprawiedliwość losu!.. Na cóżby się przydało obalać naszych poprzedników, gdybyśmy nie mieli działać lepiej od nich?

— Ah! — zawołał Lissac, podczas gdy pani Marsy uśmiechem potakiwała mówcy — jak to poznać zaraz, że ty i twoi koledzy rozpoczęliście dopiero miodowy miesiąc waszego ministerstwa!

— Postaramy się, aby trwał on jak najdłużej — odparł śmiejąc się Sulpicjusz. — Zdaje mi się zresztą, że w ministerstwie podobnie jak i w małżeństwie, miodowy miesiąc kończy się jedynie z winy samych małżonków.

— Mądry będzie, kto w ogóle wytłómaczyć zdoła krótkotrwałość tego czarownego miesiąca! — bronił się Lissac.

Mimowolnie Vaudrey pomyślał o swojej żonie, o owej pięknej Adrjannie, oczekującej go tam, w obszernych apartamentach ministerstwa, do których zaledwie wprowadzili się jakby do hotelu.

Pilno mu było powrócić do niej i opisać dzisiejszy wieczór. Tak jest, wszystko jej opowiedzieć, wszystko, nie wyłączając nawet wizyty za kulisami — nie ruszał się przecież z miejsca, nie chcąc porzucić pani Marsy, która ze swej strony, po gasnącej zwolna rozmowie, przeczuła instynktownie, że minister pragnie się już oddalić.

— Czekam już tylko — rzekła do Lissaca — na słynne *unisono*, a potem wychodzę z teatru.

Vaudrey nic na to nie powiedział, a gdy Sabina podniosła się, podał jej rękę; aby ją odprowadzić do powozu.

Na korytarzach tłoczono się, aby ujrzeć przechodzącego ministra. Na schodach ludzie nieznajomi, obcy, składali mu ukłony. Vaudrey mógł sobie wyobrażać, że to są wszystko objawy otaczającej go sympatji. Za nimi szedł Lissac, prowadzący pod ramię panią Gerson, której mąż, idący na końcu, wzdychał za kilku godzinami snu spokojnego.

Był to mroźny wieczór styczniowy, Sulpicjusz, okryty futrem bobrowem, nie opuścił ręki pani Marsy, czekając przybycia jej powozu, za którym z głębi rzęsiście oświetlonego placu, posuwała się kareta bez żadnej odznaki herbowej na drzwiczkach, kareta ministerjalna.

Stojąc tak, Sulpicjusz przyglądał się ulicy Opery, jaśniejącej błękitnawem światłem aparatu Jabłoczkowa; było to dla niego jakby dalszym ciągiem świetlnej apoteozy, jaka towarzyszyła mu przed chwilą na deskach sceny, gdy powracał z foyer baletu.

Aureola rozświecona umyślnie dla niego!

Podprowadził towarzyszkę swą aż do stopni powozu.

Pani Marsy zagadnęła:

— Czy pani Vaudrey uczyni mi ten zaszczyt i raczy przybyć w pańskiem towarzystwie?Ośmieliłabym się jutro zaraz, osobiście prosić żonę pańską o tę łaskę.

Minister skłonił się z wyrazem przyzwolenia.

Jeszcze jeden uśmiech Sabiny rzucony na ostatnie pożegnanie — drobna jej rączka podniosła szybę i rżące konie szybko uniosły karetę.

— Do widzenia — zawołał Lissac do Vaudreya.

— Mogę cię zabrać ze sobą.

— Dziękuję, mam zaledwie kilka kroków na ulicę Aumale.

Vaudrey zwrócił się do pani Gerson. Ona lekko schyliła głowę, podczas gdy mąż jej głęboki składał ukłon.

— Pozwolisz pani odwieźć się do domu?

— Zbytek uprzejmości, panie ministrze. Mamy swój powóz...

— Do zobaczenia, Lissac! — rzekł Vaudrey — a nie zapomnij przyjść do mnie na śniadanie!

— Z przyjemnością!

— Do pałacu ministerstwa! — zawołał Sulpicjusz na woźnicę, siadając do karety.

Z prawdziwą rozkoszą, jakby uczuwał potrzebę samotności, rozciągnął się na miękkich poduszkach. Wszystkie postacie z dzisiejszego wieczoru, wirowały mu jeszcze w głowie. Powonienie jego drażniły jeszcze odurzające zapachy foyer baletowego, przed oczami migały niebieskie bławatki tancerki. A owe spojrzenia, ukłony, uśmiechy kobiet, pieszczotliwy głos Sabiny, białe ząbki pani Gerson, a nadewszystko owe radosne słowa, dźwięczne jak głos trąbki, rozgłośne i tryumfujące jak fanfara:

— Stanąłeś u celu!

Wszystko to odświeżyło się ponownie wspomnieniem!

Jeszcze brzmiał mu w uszach życzliwy wykrzyk Lissaca:

— Stanąłeś u celu!

U celu! Jest to prawdą jednakże!

Minister! tak, jest ministrem! Ma pod swojemi rozkazami całą armię urzędników; może poruszać całą maszyną administracyjną, on, adwokat z Grenobli, którego marzenia najśmielsze o sławie, przed laty dziesięciu, nie przekraczały granic departamentu Izery.

Wszyscy ci ludzie, których widział przez szyby karety, kupujących w kioskach dzienniki wieczorne, odczytywać w nich będą jego nazwisko, każdy ruch jego, krok każdy.

„Pan Vaudrey zajął już mieszkanie w pałacu ministerstwa przy placu Beauvau.“

„Pan Vaudrey przyjmował dziś rano naczelników biur i personal ministerstwa spraw wewnętrznych.“

„Pan Vaudrey wraz z panem Henrykiem Jacquier (dep. Oise) podsekretarzem stanu w ministerstwie spraw wewnętrznych, zajmuje się energicznem badaniem akt osobistych wszystkich prefektów i podprefektów.“

„Pan Vaudrey zamierza przeprowadzić wkrótce liczne zmiany na posadach prefektów.“

Wszędzie, we wszystkich dziennikach, pan Vaudrey! Pan minister spraw wewnętrznych! On! jego nazwisko! jego słowa! jego projekta! jego czyny!

Tak jest, nie inaczej! stanął u celu!

Nigdy, wśród najróżowszych nawet złudzeń młodzieńczych, nie śmiał marzyć o tak pełnym blasku owej gwiazdki, której szukał niekiedy na iskrzących błękitach niebios. Stanął! stanął u celu.

Teraz dopiero pokaże światu, co może zdziałać. Wprawdzie, dawniej w miasteczku swem, w swoich obronach, następnie podczas wojny i wyborów 1871 roku i później jeszcze, i to najwięcej, w Wersalu; w ciągu długoletnich walk i utarczek politycznych, na trybunie i w komisjach lub podkomisjach, dał się już poznać, zapowiadał jakim mógłby być mężem stanu; ale prawdziwym kamieniem probierczym ludzi, jest władza. Wydobywszy się z półcieniów na pełne światło wschodzącego słońca, teraz dopiero pokaże, kim jest i co zdolny jest wykonać! Mieć prawo i moc rozkazywania! tworzenia! Myśli swoje wcielać w naród cały! Stanąć u celu! u celu! u celu! Sulpicjusz dosięgnął szczytu marzeń!

A podczas kiedy kareta ministerjalna dążyła w galopie na plac Beauvau, Sabina otulona w futrze, mile drażniona w szyję delikatnym włosem niebieskich lisów — mówiła do siebie z zupełną dla osoby obojętnością, lecz zachwycona, że udało się jej wciągnąć ministra na listę swych gości:

— Poczciwina sobie ten Vaudrey, ale wcale miły człowiek.

Rozwarła się żelazna krata pałacu Beauvau, piasek zaskrzypiał pod kołami i kareta pana ministra stanęła na lewo, pod markizą.

Sulpicjusz wysiadł. Główne drzwi otworzyły się jakby same przez się. W przedsionku dwóch lokajów w białych krawatach oczekiwało powrotu pana ministra.

Pan minister lekkim krokiem przebiegł wielkie kamienne schody, wiodące do prywatnych apartamentów. W przedpokoju oddał kamerdynerowi zwierzchnie okrycie, wszedł wesoło do saloniku, gdzie przy świetle jednej lampy siedziała pani Vaudrey, czytająca „Revue“, a gdy ujrzał tę piękną, młodziutką, świeżą twarzyczkę, o płci delikatnej i niebieskich oczach; tę mile uśmiechającą się kobietę, pytającą go dźwięcznym choć nieco nieśmiałym i jakby niespokojnym głosem: „I cóż?“ — ujął tylko w obie ręce jasne jej czoło i płonącemi jeszcze usty złożył na niem gorący, przeciągły pocałunek.

— A co! wybornie się zabawiłem, droga Adrjanno! Otaczająca mnie sympatja, wesołe usposobienie ogółu, wywołane, jak się zdaje, zmianą ministerstwa, nawet kwaśna mina Pichereau, którego spotkałem... ah! gdybyś go była widziała! wszystko to bawi mnie, zachwyca i trwoży zarazem. Czy wiesz naprzykład, o czem ja teraz myślę, kiedy stanąłem u celu?

— O czem ty myślisz? — powtórzyła mło-

da kobieta z rękami na krzyż złożonemi, z łagodnem spojrzeniem zwróconem w ożywione oczy męża.

— Myślę i powtarzam sobie, że niedosyć być ministrem! Trzeba być wielkim ministrem! Słyszysz, Adrjanno, wielkim ministrem!

Ujął w swe ręce obie rączki żony, a ona spojrzeniem pełnem serdecznego uwielbienia ogarnęła całą postać męża, który rozpromieniony nadzieją, zapewniał ją, że chce zostać wielkim.

Ona nie o takiej marzyła sławie, wówczas, kiedy ręce ich, również jak dzisiaj złączone, drżały w wzajemnym uścisku, a Sulpicjusz jedno jej tylko słowo szeptał do ucha, jedno słowo, radosnem echem odzywające się w jej sercu:

— Kocham cię, Adrjanno, i kochać chcę na całe życie... na zawsze!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA NAUKOWA

(Klisze typograficzne z celluloidu.)

Znajdują się w handlu, od lat kilku przedmioty, takie jak bransoletki, naszyjniki, piórniki, noże do rozcinania książek, grzebienie, i t. p. o pięknym połysku, i w rozmaitych kolorach. Przedmioty te, o których wielu mniema że są z galwanizowanego kauczuku, wyrabiają się z *celluloidu*.

Celluloid jest kompozycją, pochodzącą z Ameryki, powstałą ze ścisłego połączenia pod wpływem ciepła i ciśnienia, kamfory z pewnym rodzajem bawełny strzelniczej, niewybuchającej.

Celluloid jest twardy, wytrzymały, przeźroczysty, żółtawo biały; i daje się topić pod wpływem gorąca.

Nasycając go rozmaitemi barwnikami, wyrabiają z niego imitacje korala, bursztynu, szyldkretu, malachitu, lazurowego kamienia, szmelcu i t. p.

Celluloid jest nadzwyczaj wytrzymały; przedmioty wyrobione z tej materji, mogą być rzucane na podłogę bez uszkodzenia.

Ten ostatni przymiot, to jest niezmierna wytrzymałość celluloidu, spowodowała zużytkowanie go w ostatnich czasach na korzyść typografii.

P. Emil Jeannin, uderzony własnością tej masy twardej, stania się ciągliwą przy temperaturze + 125°, wpadł na myśl wyrabiania z niej klisz do wyciskania rycin, przeznaczonych do odbitek drukarskich.

Klisze rycin na drzewie (drzeworytów) otrzymują się za pomocą galwanoplastyki, przy operacji dość długiej i mozolnej. Ażeby otrzymać klisze z celluloidu, nie potrzeba więcej jak pół godziny. Są one przytem również wytrzymałe jak klisze z miedzi, otrzymane galwanoplastycznie.

Klisze z celluloidu są oprócz tego nadzwyczaj lekkie, podatne i giętkie, co pozwala zastosowywać je do powierzchni cylindrów pras pospiesznych. Tym sposobem, dzięki giętkości swej, przydatne one są zarówno do pras cylindrycznych, jak i do płaskich, tak, że nie potrzeba już robić dwóch klisz: jednej płaskiej, drugiej krzywej, gdyż jedna klisza płaska może służyć dla obydwóch rodzajów pras drukarskich.

B.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

⁂ W dalszym ciągu wydawnictwa „Bibljoteki Mrówki“, opuściły prasę tomiki 134 i 135 zawierające „Pamiętniki Jana Kilińskiego.“

⁂ Juljana Bartoszewicza „Anna Jagielonka“, szkic historyczny w 2 tomach, opuścił prasę w Krakowie, nakładem księgarni K. Bartoszewicza. Jest to jedno z najcenniejszych dzieł historycznych, jakie w ostatnich latach ukazały się na widok publiczny, zawiera też najwspanialszy okres historji polskiej, z czasów Zygmunta Augusta i Stefana Batorego.

⁂ W tych dniach wyszła z druku praca prof. Władysława Boberskiego, p t. „Choroby roślinne.“ Autor, podając to dziełko, miał przedewszystkiem wykształconych gospodarzy na oku. Znajdą oni tam nie jedną praktyczną wskazówkę, jakoteż popularny wykład, oparty na najnowszych na tem polu badaniach, rzucających światło na nieznane do niedawna tajniki chorób roślinnych, niszczących niejednokrotnie całe żniwo. Dziełko to, polecamy uwadze rolników.

⁂ P. Walerjan Kopernicki, nauczyciel w Warszawie, wydał nakładem swoim ślepą mapę hydrograficzną dawnej Słowiańszczyzny (od 41° do 58° szer. geogr. półn. i od 8° do 32° dł. geogr. Par.) w skali 1: 2,000,000.

⁂ Sarbiewski w Anglji wysokiej używa powagi.

Wiadomo, iż na wydziałach filologicznych w Oxford i Cambridge zalecanym jest młodzieży do czytania na równi z klasykami...

Obecnie dr. Sheehan wydał specjalną monografję, jako komentarz do dzieł polskiego Horacjusza; jednocześnie Watts przetłumaczył znakomitego poetę na angielskie.

⁂ Nadzwyczaj ciekawa korespondencja Marji Teresy, pisana do dzieci po francusku, drukuje się w Wiedniu nakładem Arnetha.

Znajdują się tam liczne materjały do drugiego rozbioru Rzeczypospolitej polskiej.

⁂ W czasopiśmie *The jewish Wora* znajduje się artykuł prof. Chwolsona, w którym tenże donosi o wykryciu przez siebie licznych materjałów do pobytu pierwotnego żydów w Polsce.

Zbiory pomienione były krytycznie przejrzane podczas kongresu archeologicznego w Tyflisie.

⁂ W Wiedniu ogłoszono prospekt na *Dziennik oskarżeń*.

Ma to być pismo dla reklamacji tych, co w stosunkach urzędowych lub też prywatnych doznali pokrzywdzenia.

⁂ Wystawione na sprzedaż publiczną w Paryżu jedno z najświetniejszych płócien Matejki „Stańczyk“, nabyte zostało przez p. Michała Józefowicza z Warszawy.

⁂ Słynny malarz węgierski Munkacsy wycofał w tych dniach z wystawy paryskiej wspaniały swój obraz „Chrystus przed Piłatem“ w celu... zu pełnego przemalowania głowy Zbawiciela.

Uczynił to Munkacsy na skutek uwagi jednego z krytyków.

Obraz w nowej swej postaci wkrótce wystawiony będzie.

Uznania godne jest to postąpienie artysty.

⁂ „Wieża Babel.“ Do używanych w szkołach ludowych naszych elementarzy: polskiego, ruskiego (kirylica), niemieckiego (gotyk), przybywa nowy hebrajski... Nie żartujemy wcale. Elementarz hebrajski został rozporządzeniem wys. Rady szkolnej krajowej, z d. 14. czerwca r. z. l. 2760, do użytku szkolnego zatwierdzony. Zapytujemy, czyby nie korzystniej już było, skoro mamy być filologicznie kształceni, zamiast hebrajskiego, zaprowadzić wykład języka Sanskryckiego i Staroperskiego? Języki te przynajmniej są bardziej z naszymi pokrewne, i w ich nauce możnaby przecież domyślić się jakiegoś celu, gdy tymczasem co do hebrajskiego niepodobna. Chyba że projekt Lama rozwiązania kwestji żydowskiej, przez przesiedlenie się Polaków do Palestyny, byłby kiedyś urzeczywistniony; ale wtedy nawet, lepiej by było uczyć się arabskiego i chińskiego jako języków żyjących.

Społeczne i ekonomiczne.

⁂ Dowiadujemy się, iż jeden ze znanych filantropów i protektorów biednych nosi się z myślą założenia w Warszawie towarzystwa pomocy dla nauczycielek, które, rujnując zdrowie w usługach społeczeństwa, są przezeń zbyt po macoszemu nagradzane i zazwyczaj kończą swój pracowity żywot w najstraszniejszej nędzy...

Szanowny inicjator, pragnąc myśl swą co żywo ujrzeć zamienioną w ciało, czyni już przygotowania przedwstępne.

⁂ Pan E. L. Kasprowicz z Lipska rozesłał do wszystkich czasopism słowiańskich niemiecką broszurkę, w której stara się wykazać konieczność założenia towarzystwa akcyjnego pod formą „Słowiańskiego domu zleceń“, ażeby ta instytucja mogłaześrodkować w sobie wszelkie międzysłowiańskie interesa różnych narodów, zarówno duchowe jak materjalne (?).

⁂ W Londynie odbył się w tych dniach odczyt pewnego indjanina, nawróconego na chrześcijaństwo, o dogmatyce swego plemienia.

Utrzymuje on, iż w dzieci indyjskie wpajają pięć następujących głównych przykazań:

1. Nie będziesz kłamał.
2. Będziesz w każdej potrzebie wspomagał swoich przyjaciół.
3. Będziesz czcił swoich rodziców.
4. Nie będziesz się obawiał śmierci.
5. Każdą zniewagę pomścisz.

⁂ W roku przyszłym przypada stuletni jubileusz choroby sezonowej... „kataru.“

Historja jego powstania jest następującą:

Po bardzo ostrej zimie roku 1782 nastąpiła wiosna nader zmienna, a z nią przybyła z Rosji choroba dotąd nieznana w reszcie państw europejskich i którą dla tego nazwano „modną chorobą.“

Przez Szwecję i Danję epidemja dostała się do Niemiec, gdzie zwłaszcza w Berlinie, Lipsku i Frankfurcie nad M. z szczególniejszym srożyła się uporem.

W ostatniem mieście zapadł cały garnizon na modną chorobę, która z równą srogością szerzyła się pomiędzy wszystkimi stanami.

Do Wiednia dostała się modna choroba w kwietniu i opanowała przeszło połowę zdrowych dotąd nosów ludności.

Ówczesny teatr narodowy musiano zamknąć na ośm dni, z powodu, iż wszyscy jego artyści... mieli gwałtowny katar.

W Czechach choroba ta srożyła się głównie pomiędzy stanem włościańskim tak silnie i ogólnie, iż przez jakiś czas wstrzymano uprawę roli.

Dopiero zbliżające się lato przerwało epidemję.

„Katar“ jednak pozostał i w pewnych porach z całą zaciętością nas prześladuje...

Z Drukarni „Gazety Narodowej“

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.

Rok 8. 30. Października 1881 r. Tom XII.

TYDZIEŃ POLSKI.

ZESZYT 44.

Warunki prenumeraty:

A) Na Tydzień Polski sam.

Prenumerata całoroczna we Lwowie	zlr. 8 ct. —	Z przesyłką	zlr. 10 ct. —
" półroczna "	" 4 " —	"	" 5 " —
" kwartalna "	" 2 " —	"	" 2 " 50

B) Na Tydzień Polski z dodatkiem powieściowym.

Prenumerata całoroczna we Lwowie	zlr. 10 ct. —	Z przesyłką	zlr. 12 ct. —
" półroczna "	" 5 " —	"	" 6 " —
" kwartalna "	" 2 " 50	"	" 3 " —

Prenumerata za granicą.

We W. Ks. Poznańskiem „Tydzień" z dodatkiem powieściowym kwartalnie Mrk. 7. Bez dodatku Mrk. 6
We Francyi, Anglii, Ameryce i t. p. dtto dtto dtto Fr. 8. dtto Fr. 7

Cena pojedyńczego zeszytu 25 centów.

Pieniądze prenumeracyjne prosimy posyłać pod adresem:

ADMINISTRACJA
„TYGODNIA POLSKIEGO"
Lwow, plac Halicki l. 14.